

DYSOCJACJA



ARTUR MIŁOŃ

BookEdit

ARTUR MIŁOŃ

D Y S O C J A C J A

BookEdit

Copyright © Artur Miłoś, 2025

Projekt okładki i ilustracja na okładce: © Artur Miłoś

Redakcja: Magda Ceglarz, Barbara Kaszubowska

Korekta: Anna Godlewska

e-book: JENA

ISBN 978-83-68432-74-9

Wydawca

BookEdit

tel. 512 087 075

e-mail: redakcja@bookedit.pl

www.bookedit.pl

facebook.pl/BookEditpl

instagram.com/bookedit.pl

*Dla Danusi, Miśki, Tymka i Minka
oraz Bożeny, Adama, Dariusza i Sławomira*

DYSOCJACJA

Życie

przeszłość, teraźniejszość, przyszłość

narodziny i śmierć

kraina świadomości i królestwo podświadomości

świat snów, złudzeń i marzeń

droga do szczęścia i spełnienia

wśród nadziei i rozczarowania

oddzielone cienką niedostrzegalną linią

zakreśloną wolą przetrwania

I. TGV

– Czy tym razem możemy się nie spóźnić? Ostatnio ledwo zdążyliśmy na czas, a przecież dobrze wiesz, że twój kolega ortopeda nie lubi spóźnień – rzekła z lekkim przekąsem. – Straszny maruda z niego. Zanim weźmie się do roboty, zrobi nam solidny wykład o tym, jak ważna jest punktualność.

– Przecież zawsze jestem na czas i nigdy się nie spóźniam – odpowiedziałem żartem.

– Taaa... już ja cię dobrze znam, mężu... Zawsze jesteś spóźniony i stale w niedoczasie – mówiła, jednocześnie uśmiechając się do lustra w łazience, gdzie właśnie suszyła włosy. – Pewnie nawet nie jesteś jeszcze gotowy. Czyż nie jest tak? No, powiedz mi?

– Ale za chwilę będę, tylko pozwól mi obejrzeć do końca mój ulubiony program, to dosłownie kilka minut. Gdy się skończy, to od razu startujemy. Zaufaj mi.

– Jak chcesz, ale pamiętaj, że nie mam zamiaru pędzić na dyżur szpitalny, i to jeszcze w taką piękną pogodę. Dobrze wiem, co znaczy u ciebie kilka minut i jak to się skończy. Teraz zapewne pijesz kawkę na luzaku, oglądasz TV, a za chwilę będziesz ganiać jak nakręcony.

Jak na te wszystkie różnice charakteru byliśmy nieźle zgrani i całkiem dobrze dopasowani. Przeciwności w nas przyciągały się

i świetnie uzupełniały. Dla mnie najważniejsze było to, że pozwalała mi być sobą. Tolerowała moje gafy i potknięcia. Nie strofowała i nie upominała. Nigdy mi niczego nie zarzucała i nie miała żadnych pretensji. Kochała mnie takiego, jakim byłem. Bywałem już w niejednym towarzystwie, ale tylko przy niej mogłem czuć się komfortowo.

– Rozumiem, kochanie, już kończę. Za momencik. Dziś jest program o kulturze francuskiej i do tego po angielsku. Wiesz, ktoś chyba celowo nakreślił taki scenariusz programu. Przecież Wielka Brytania i Francja to dwa różne, rywalizujące ze sobą światy.

Rozsiadłem się wygodnie w fotelu i pogłośniłem odbiornik. Program prowadził Brytyjczyk z krwi i kości, zdecydowanie mieszkaniec okolic Manchesteru. Dało się to wychwycić w jego akcencie. Miałem kiedyś kolegę z Manchesteru. Osobliwy zawodnik. Jeździł najnowszym kabrioletem ferrari. Taki samochód wart był fortunę. Jednocześnie nosił na co dzień klapki basenowe posklejane taśmą klejącą. Przez lata chodził w tym samym dresie adidasa i rozliczał się z każdego centa. Ewidentnie miał węża w kieszeni. Na jednej z imprez urodzinowych swojego współlokatora, notabene Francuza, proponował gościom drinki bez limitu i na własny koszt. Chodził od stołu do stołu i zbierał zamówienia. Jakże to było bardzo miłe z jego strony, nieprawdaż? Tyle że następnego dnia wystawił solenizantowi pokazy rachunek za wszystkie napoje. Nawet za te, które sam wypił.

Brytyjczycy i Francuzi żyją jak pies z kotem. Od wieków spierają i mocują się na wielu płaszczyznach. Niech przykładem będzie dzielący te dwa państwa kanał morski. Otóż w zależności, z której strony się stoi, kanał nazywa się angielskim albo La Manche. To cud, że wspólnymi siłami zbudowali tunel samochodowy biegnący właśnie pod tym kanałem.

Tymczasem rudy, piegowaty Brytol opowiadał pół żartem, pół serio o południowym sąsiedzie Francji. Padło na francuskie koleje. *Train à grande vitesse*, często określane skrótem TGV, to sztablarowe osiągnięcie francuskiego przemysłu kolejowego. Wcześniej Francja zastępowała współautorstwem niesamowitego samolotu Concorde. Latał szybko i wysoko. Można było ujrzeć podczas lotu zakrzywienie kuli ziemskiej. Niestety, ta historia skończyła się tragedią. Aż trudno uwierzyć, że państwo o takim potencjale, kraj Robespierre'a i Napoleona, tak łatwo poddało się nazistowskiej inwazji i niechlubnie zastąpiło z zapyziałego Vichy. Nie pomogła linia Maginota, kolejne świadectwo myśli francuskiej. Nikt z głównodowodzących nie przewidział, że uderzenie armii niemieckiej nadejdzie od strony Belgii.

Zresztą Francuzi to ciekawy naród. Potrafią się sprzeczać do upadłego. Czasem tak dla zasady i niejednokrotnie tylko dla podtrzymania rozmowy. Lubią dużo nawijać, i tyle. Totalne przeciwieństwo stonowanego i wycofanego społeczeństwa brytyjskiego, co dumnie zaznaczył prezenter, podkreślając, że wcale nie było to złośliwie. Mimo to gadatliwych Francuzów cechuje wyrazisty urok osobisty. Kobiety są czarujące i apetyczne, że palce lizać. To samo dotyczy ich wyśmienitych potraw i win. Nie zapominajmy o Lazurowym Wybrzeżu i śródziemnomorskim klimacie. Nie powinno być zatem dla nikogo zaskoczeniem, że sztuka ekspresjonizmu narodziła się we Francji gdzieś pomiędzy poranną kawą, konfiturami i świeżym pieczywem. Nie to, co Anglosasi, z ciężkim jak liverpoolska stal śniadaniem. Można się z tym nie zgodzić, ale prawda jest taka, że to Francuzi od wieków wyznaczają kierunki w filozofii, sztuce, muzyce i myśli politycznej. Jak widać, świetnie radzą sobie również w technologicznych nowinkach, czego przykładem jest właśnie pociąg TGV.

Osiąga imponującą prędkość pięciuset siedemdziesięciu czterech kilometrów na godzinę i umożliwia sprawne pokonywanie odległych dystansów. W mniejszych krajach Europy, jak choćby w Niderlandach, taki środek transportu nie ma szans na powodzenie. Jedno tylko przyspieszenie i już jesteś daleko w Belgii poza linią Maginota. I pomyśleć tylko, że pierwsza maszyna parowa powstała w Królestwie Brytyjskim i dała początek rewolucji przemysłowej. „Może będę się czepiać – rzekł prezydent – ale jak dla mnie jest jeden mały minus tego pociągu. Otóż przy dużej prędkości traci się to, co najważniejsze w podróży. Tak jest przynajmniej dla mnie. Mówię tu o podziwianiu krajobrazu. Osobiście lubię oglądać miejsca, po których podróżuję, lecz w tak pędzącym pociągu staje się to niemożliwe”. Ale nic to. Francuzi wciąż będą utwierdzać wszelkich malkontentów, że TGV to coś więcej niż zwykły pociąg. To symbol ponadczasowej myśli człowieka oraz dowód przekraczania granic jego wyobraźni. Obsesja wypierająca zdrowy rozsądek. Koszt, ryzyko nie mają znaczenia – liczy się rezultat. Do tego musi być natychmiastowy. Ci, którzy nie nadążają, pozostają daleko w tyle, podczas gdy reszta świata porusza się z prędkością TGV. Wóz albo przewóz. Cóż widocznie postęp nie toleruje żadnych przystanków.

Święta racja – pomyślałem. – O kurde! Nie zauważyłem, że minęło więcej niż kilka obiecanych minut.

– Kochanie, możemy ruszać, mam nadzieję, że jesteś gotowa? – krzyknąłem z sypialni, ubierając się w pośpiechu.

Potykałem się o porozrzucone po całym pokoju rzeczy i kląłem pod nosem. Jak widać, są jeszcze pewne stare prawdy, które nie podlegają zmianom.

II. SZORSTKI PORANEK

Nic nie zapowiadało nadchodzących wydarzeń. Czułem się dobrze tu i teraz. Komfortowo trwałem we własnym rytmie i dobrym nastroju. Odcięty od świata z wprawą balansowałem na granicy iluzji i absurdu. Dryfowałem w przestrzeni frywolnie pędzących myśli. Słyszałem i widziałem piękno nieznanych zjawisk. Pochłaniały mnie bezgranicznie. To było fascynujące doznanie. Spotykałem zmarłych i nienarodzonych. Przyglądałem się im i podsłuchiwałem. Gdzieś w połowie drogi wymieniali się transcendentalnymi doświadczeniami, a ich rozmowy były bezcenną nauką. Wszak to Konfucjusz rzekł, że tylko mądre istoty uczą się na cudzych błędach. Również zapragnąłem skosztować ich mądrości. Wkręcony w niesamowitą opowieść o wiecznym istnieniu duszy ludzkiej, chciałem powędrować razem z nimi w poszukiwaniu nirwany. Tu jednak spotkała mnie przykra niespodzianka. Nie mogłem się ruszyć. Byłem spętany i każdą kończynę miałem unieruchomioną. Jak to w ogóle możliwe i co to miało dla mnie oznaczać? Jedyne co jakiś czas odczuwałem na ciele lekki powiew wiatru. To zdecydowanie była cisza przed burzą. Krnąbrny zefirek nabierał siły, przeistaczał się stopniowo w zimny i nieznosny wiatr północny. Przynosił nieprzyjemne dreszcze i wraz z nimi niepokój. Człowiek to jednak słaba istota; cokolwiek robi, pozostanie bezsilny wobec sił natury. Jestem tego kolejnym przykładem.

Nie potrafiłem sobie poradzić z wiatrem i coraz trudniej było mi się oprzeć jego naporowi. W końcu pojawił się gwałtowny podmuch i porwał mnie w nieznane. Unosiłem się wysoko ku słońcu wśród kołyszących się drzew. Ileż to cudownych akrobacji wykonałem w powietrzu! Zdążyłem zapomnieć o wszystkim i nic już mi nie przeszkadzało. Uczucie wolności ogarnęło mnie całego i strach zamienił się w ekscytację. Człowiek od wieków pragnął latać jak ptak, a tu niespodziewanie nadarzyła mi się taka okazja. Czego jeszcze mógłbym chcieć? No może tylko tego, żeby to nigdy się nie skończyło. Niestety, zapeszyłem. Zdradziecki zefirek niespodziewanie się wyciszył i bez żadnego ostrzeżenia porzucił mnie z wysoka tuż nad strome urwisko.

Cóż, zawsze robił tak samo. Zostawiał mnie w tym samym miejscu o tej samej porze. Nie potrafiłem tego zrozumieć. Zachowywałem się jak opiłek metalu uwięziony w środku pola magnetycznego. Nie miałem na nic wpływu i każdy dzień wyglądał jednakowo. Niejeden raz próbowałem wyrwać się z tego błędnego koła, lecz jak bumerang wracałem do punktu wyjścia. Dobrze wiedziałem, gdzie jestem, już nawet nie musiałem otwierać oczu, żeby się o tym przekonać. Otóż za moimi plecami rozciągał się gęsty, ciemny, mroczny las. Sprawiał wrażenie pełnego tajemnic i do tego wzbudzał ponure i niepożądane wrażenie złowrogości. Mimo to nie mogłem oderwać od niego wzroku. Dla odmiany tuż przede mną ciągnęła się bezkresna przestrzeń, a tuż pod moimi zwisającymi stopami – morze pełne wzburzonych fal o żywym błękitnym kolorze. Akurat z tej strony widok był relaksujący. Siedziałem więc wygodnie nad urwiskiem, machając nogami nad przepaścią. W powietrzu unosił się zapach wilgotnego runa leśnego; to właśnie dzięki niemu miejsce nabierało znajomego i przyjaznego charakteru. Jak dla mnie zbyt znajomego.

Czy to miało jakiegokolwiek znaczenie? No właśnie nie. Było mi obojętne. Zresztą tak właśnie miało być do samego końca – mojego końca. No ale co tu dużo mówić: nie mogłem przecież przewidzieć nieprzewidywalnego. Nikt mnie nie ostrzegł, że pewnego dnia życie, jakie znałem, zostanie wywrócone do góry nogami. Wzięty znienacka, nie byłem na to przygotowany. Rozpoczęło się od krótkiej, niewinnej, aczkolwiek cholernie natarczywej myśli. Nie dawała mi spokoju. Chciałem ją uciszyć, ale na nic zdawały się moje wysiłki. Uparcie wnikała w głąb mojej świadomości i panoszyła się w niej jak żarłoczny kornik. Zaciekle żerowała i drzęzła liczne korytarze, nie dając mi chwili wytchnienia. Wraz z nią pojawiał się tępy ból głowy. Mogła znaczyć dosłownie wszystko i równocześnie nic. Być zwiastunem zbliżającej się śmierci albo narodzin. Trzeba przyznać jej jedno: była niesamowicie skuteczna i wnet zdominowała pozostałe myśli. Zdezorientowane neurony odmawiały posłuszeństwa jeden po drugim. Jakby tego wszystkiego było mało, pojawił się jeszcze paniczny strach. Nieprzyjemne, zatrważające uczucie, pozbawione logicznego uzasadnienia. Chcąc się od tego uwolnić, wpadłem na pomysł, aby uciec w sen.

Zamknąłem więc oczy i próbowałem zasnąć, lecz bezskutecznie. Nie mogłem się wyciszyć. I wtedy przypomniałem sobie, że uczucie zmęczenia było mi obce i w ogóle nie potrzebowałem snu. Jak to możliwe? Przecież brak snu jest niezdrowy. Co ze mną nie tak? Musiałem temu jakoś zaradzić i zapanować nad plądrującymi mózg głosami. Tym razem postanowiłem zmienić taktykę i skonfrontować się z nimi. Może w końcu zrozumieć, o co w nich chodzi. Trzeba dobrze poznać zachowanie wroga, aby móc z nim skutecznie walczyć, prawda? Niedługo potem usłyszałem wyraźne wołanie:

– Kochanie, otwórz oczy! Czas ruszać!

Kobięcy głos rozbrzmiewał silnym echem w mojej głowie, obijał się o czoło, o potylicę. To jeszcze bardziej spotęgowało wszechobecne poczucie niepewności i zagubienia. Co to miało znaczyć? Dokąd miałem się udać? Kto szeptał mi do ucha? Otworzyłem oczy i raz jeszcze uważnie się rozejrzałem. Nic się wokół mnie nie zmieniło. Wszystko było na swoim miejscu: morze, przepaść i las. Siedziałem zupełnie sam i w pobliżu nie było żywej duszy. Zatem głos kobiety istniał wyłącznie w mojej świadomości. Wygląda na to, że już całkowicie zwariowałem. Przecież mówiłem sam do siebie. No ale chwila – skoro tak było, to dlaczego nie mogłem go uciszyć? Co więcej, głos narastał i stawał się coraz głośniejszy. Wysokimi dźwiękami doprowadzał mnie do szaleństwa. W końcu w akcie desperacji zacisnąłem pięści i krzyknąłem z całych sił:

– Cisza!

W tym samym momencie nastąpiła ciemność. Głos kobiety zamilkł. Wreszcie! – pomyślałem, uradowany. Teraz odpocznę. Radość okazała się jednak przedwczesna. Zorientowałem się, że właśnie wylądowałem w nieznanym przestrzeni, wypełnionej bezkresną pustką. Nie było już lasu ani morza. To był koniec. Wszystko zniknęło bez śladu, niczym w czarnej dziurze. Wszystko poza mną. Chaotycznie rozpocząłem poszukiwania punktu zaczepienia, lecz wszelkie starania zmierzały donikąd. Kosztowało mnie to sporo wysiłku i zaraz pojawiło się zmęczenie. Wypalałem się w zawrotnym tempie. Tlenu ubywało, nie miałem już czym oddychać. Nie byłem zanurzony w wodzie, a mimo to zaczynałem bezwiednie tonąć.

Cholera, co się tu dzieje?! Złapałem jeszcze ostatni oddech. Tak właśnie miał wyglądać mój koniec – pomyślałem. Niespodziewanie w tym samym momencie poczułem gwałtowne i zaskakujące uderzenie gdzieś od tyłu. Następnie cała przestrzeń wokół mnie wypełniła się intensywnym, śnieżnobiałym światłem. Bingo!

Światłowstręt był wyjątkowo okrutny. Mrugałem, próbując dostroić wzrok. W końcu osiągnąłem sukces i zdziwiony odkryłem, że znajdowałem się w zamkniętym pomieszczeniu. Zamiast czerni pojawiła się biel. Wciąż jednak miałem trudności z oddychaniem i odczuwałem mocne drapanie w krtani. Poza tym niezmiennie nie mogłem się poruszać. Z ogromnym zażenowaniem zauważyłem, że znajdowałem się na łóżku i byłem przywiązany do niego skórzanymi pasami. Na bank to izba wytrzeźwień i pewnie dlatego niczego nie pamiętałem. Totalny *black-out*. Zresztą nie pierwszy ani ostatni raz. Znów pewnie popiłem jak za starych dobrych lat i urwał mi się film. Jak mówią mistrzowie gatunku: pić trzeba umieć. To prawda. Nigdy nie piłem na pół gwizdka. Jak już zaczynałem, to nie potrafiłem skończyć. Piłem bez opamiętania i przyznam szczerze – świetnie się bawiłem. To była jazda bez trzymanki. Przygoda goniła kolejną przygodę. No ale tym razem wyglądało to inaczej. Żadna to dla mnie przygoda. Szarpałem się i próbowałem wyrwać z pułapki. Niestety, pasy były za mocno zaciśnięte. Znów dopadło mnie osłabienie i zamknąłem oczy.

I wtedy wybudził mnie głośny krzyk:

– Natychmiast na salę! P dziewiętnaście zaczyna się budzić!

Niemalże jednocześnie poczułem silne szarpnięcie i wylądowałem na brzuchu. Następnie oberwałem mocnym uderzeniem w plecy gdzieś między łopatkami. Potem kolejne. W końcu wypłułem krew i złapałem oddech. Od razu mi lepiej.

III. EKSPONAT

Nie wiem, jak długo to trwało. Może była to tylko krótka chwila, a może cała wieczność. Nie mogę wykluczyć innych licznych możliwości. Czas płynący w ludzkiej świadomości jest trudny do oszacowania. Próżnia rządzi się własnymi prawami. Tak samo jak miejsce, w którym się znalazłem.

Zaraz po przebudzeniu dostrzegam kilku mężczyzn. Jestem zaskoczony ich widokiem. Tak dawno nie widziałem drugiego człowieka. Dosłownie zdziżałem nad przepaścią. Przyglądam się uważnie grupce na wpółotwartymi oczami. Każdy z nich bez wyjątku jest ubrany w identyczny i beznadziejnie wyglądający fartuch. Laboratorium, szpital czy może rzeźnia? Wyglądają nadzwyczaj sterylnie. Może to zespół naukowców lub co gorsza, członków tajemnego związku pana Mansona? Nie no zaraz, o czym ja mówię? Wciąż jednak coś mi tu nie pasuje. Jest za cicho i żaden z nich się nie rusza. Jedyne patrzę na mnie łakomie. Może jednak jestem martwy? Jeśli tak jest, to dlaczego wciąż nawijam sam do siebie? To naprawdę nie ma sensu. Poza tym nie czuję, że nadszedł już mój czas. Tylko że nikt nie odchodzi w odpowiednim czasie... Ludzie jakoś zawsze umierają za wcześnie albo za późno.

Wkrótce się dowiem, o co tu chodzi. Tylko któryś z tych fartuchów musi zacząć do mnie mówić. Jak na złość nic na razie się nie dzieje.

No dalej – ponagliam – zlitujcie się nade mną i powiedzcie coś! Nic z tego. Panowie spokojnie mnie obserwują, szukając Bóg wie czego. Jestem transparentny i nie mam niczego do ukrycia. Już teraz mogę odpowiedzieć na wszystkie pytania, wystarczy tylko zapytać. W końcu odnotowuję małe poruszenie. No wreszcie! Widzę, jak zaczynają szeptać między sobą i wskazywać na mnie. Tyle tylko że jak na razie nic nie słyszę. Czy może ktoś ich pogłosić? Nie no, rewelacja, już nic z tego nie rozumiem. To musi być jakiś kiepski żart. Co jednak, jeśli nie? Może jestem tylko znaleziskiem, jakimś cennym eksponatem? Na przykład obcym stworzeniem z dalekiej planety. To akurat mogłoby usprawiedliwić środki bezpieczeństwa i te pasy. Pewnie leżę teraz zamknięty w dobrze chronionym żelbetonowym bunkrze. Najlepiej na pustyni, głęboko pod ziemią i w strefie numer pięćdziesiąt jeden. Strzeże mnie korpus wojskowy i pilnuje, żebym się nie ulotnił. Lada chwila rozpoczną się eksperymenty. Zaczną mnie ciąć, kroić i pobierać próbki do analizy. Każdy ruch skalpela odbędzie się na żywo, bez żadnego znieczulenia. Wszystko dla dobra ludzkości – takie tam kolejne Roswell.

Jezu, mam nadzieję, że tak nie jest! Próbuję wołać o pomoc, ale zamiast tego dostaję bolesnego szczękoscisku. Nie mogę wydobyć z siebie chociażby jednego słowa. Muszę świetnie się teraz prezentować z twarzą powykrzywaną grymasem. Krew gotuje się w żyłach i mam wrażenie, że za moment cały układ krwionośny po prostu eksploduje. Ku mojemu zaskoczeniu to zmienia jednak dynamikę spotkania. Jeden z fartuchów zbliża się do mnie na krok, może dwa. Teraz mogę mu się dokładnie przyjrzeć. Zdecydowanie wyróżnia się wśród pozostałych. Nosi okrągłe okulary i krótki, równo przystrzyżony włos. Na zarośniętym torsie dynda mu niedbale zawieszony stetoskop. Na fartuchu widnieją personalia i już teraz wiem, że wszyscy tu zebrani to lekarze. Wreszcie

się ożywili i zaczęli uśmiechać. To dobry sygnał. Co więcej, wyglądają na zadowolonych, choć może mają ubaw z tego, co zobaczyli. Niczego nie kontroluję i zwyczajnie zlałem się do łóżka.

– Dzień dobry. – Moje rozterki przerywa głos mężczyzny z wąsami.
– Proszę nam wybaczyć, albowiem znajdujemy się w nieco niezręcznej dla nas sytuacji. Otóż nie wiemy, jak tu pana teraz powitać. Aby nie zagłębiać się w dość zawile szczegóły, chciałbym tylko powiedzieć, że jesteśmy bardzo usatysfakcjonowani tym, co właśnie widzimy. Mamy oczywiście na to własne teorie, ale o tym może później. Zacznijmy od zwykłego „dzień dobry”, co ty na to, chłopaku? Dodam jeszcze, że jest nam niezmiernie miło cię powitać wśród żywych. Wykonałeś świetną robotę!

Wreszcie ktoś coś powiedział. Odetchnąłem z ulgą. Może nie jest tak źle, jak myślałem, i sprawy nabiorą wreszcie odpowiedniego tempa.

– Chciałbym również ci powiedzieć – kontynuował wąsaty, powoli i starannie dobierając słowa – że bardzo długo czekaliśmy na ten moment. Nawet nie zdajesz sobie sprawy jak długo, ale to nie jest teraz aż tak ważne. Jak sam widzisz, jesteśmy tu niemalże wszyscy, gdyż żaden z nas nie mógł sobie pozwolić na przegapienie tak istotnego wydarzenia.

Wąsaty zdaje się wiedzieć, co mówi. Takie przynajmniej sprawia wrażenie. Ale wciąż nie mam pojęcia, o jakim wydarzeniu on mi teraz nawija. Czyżby kolejny obywatel naszego kraju poleciał w kosmos? Może nawet wylądował na Księżycu? To akurat byłoby wydarzenie, o którym z chęcią porozmawiam.

– Na początek zacznijmy od tego, że jestem ordynatorem oddziału psychiatrycznego – oświadcza oficjalnym tonem. – Zanim jednak przedkażę ci dalsze informacje, muszę się upewnić, że rozumiesz wszystko,

co do ciebie mówię. Taka jest nasza lekarska praktyka. – Lekko się pochylił się i zaczął mówić jeszcze wolniej: – Dla jasności sytuacji, proszę, powiedz więc nam cokolwiek, jedno słowo. Nie wymagamy teraz od ciebie za wiele. Na poważne rozmowy przyjdzie jeszcze czas. Jeżeli będzie to dla ciebie za trudne, daj nam jakiś inny znak. Na przykład mrugnij lub poruszaj palcem. Wiemy, że teraz może być z tobą różnie. Tak naprawdę nie mamy pewności, w jakim jesteś stanie. Uwierz mi, że najdrobniejszy znak pozwoli nam zrozumieć twoją sytuację, ukierunkować działania i skutecznie pomóc ci w powrocie do miejsca, w którym już dawno powinieneś się znajdować.

No super! Naprawdę nie mam pojęcia, o czym ten ordynator do mnie mówi. Ale nic to, zaraz dam mu znać, że wszystko ze mną jest w porządku. Tylko nie wiem, jak się do tego zabrać i jak to zrobić. Moje ciało jest bezwładne. Nigdy mi się dotąd to nie przydarzyło. Do tego przestrzeń akustyczna i głos lekarza tworzą wyjątkowo surrealistyczne tło dla tej iście absurdalnej sytuacji. Tak to teraz przynajmniej widzę. Jestem unieruchomiony pasami i mówi do mnie lekarz psychiatrii. Nie wróży to niczego dobrego. Nie pomaga też ton wypowiedzi oraz sposób, w jaki jestem traktowany. Starannie dobiera słowa, mówi powoli, delikatnie i z należytą troską, niemal tak, jakby rozmawiał z dzieckiem. Dlaczego tak się zachowuje? Każde jego słowo rezonuje w mojej głowie z dużym natężeniem, ale zaraz potem wystrzeliwuje w nieznane i znika na zawsze. To z kolei powoduje, że mój umysł jest niemalże spustoszał. Myśli podróżują w nim jak wolne elektrony i nic doprawdy nie trzyma się kupy. Staram się przypomnieć sobie cokolwiek, jednakże szczerze niczego nie pamiętam!

Niech tak będzie. Jak najszybciej muszę im tylko pokazać, że wszystko jest ze mną w najlepszym porządku. W przeciwnym razie

potraktują mnie jak roślinę i nic z tego nie wyjdzie. Niestety, okazuje się dość szybko, że nawet nie mogę otworzyć ust. Są tak ciężkie jak z ołowiu i odporne na wszelkie moje próby. Całe ciało zachowuje się jak organizm kosmonauty przygnieciony siłą ciężenia podczas startu rakiety kosmicznej.

Co jest, do cholery? – zastanawiam się.

Wówczas ordynator raz jeszcze pochyła się nade mną.

– Spokojnie – mówi. – Nie ma pośpiechu. Czekaliśmy na ciebie naprawdę długo. Zatem zaczekamy jeszcze chwilę lub dwie. Daj sobie trochę czasu.

Łatwo mu to mówić. Gdybym tylko mógł, wstałbym z łóżka i zatańczył przed nimi. Jak to w ogóle możliwe, że nie potrafię wyrzucić z siebie choćby jednego krótkiego słowa? Przecież nie jestem sparaliżowany. Tak przynajmniej mi się wydaje. Boże, tylko nie to! To akurat byłoby straszne. Teraz dopiero zdaję sobie sprawę z powagi sytuacji, w jakiej się znajduję. Obecność tak wielu lekarzy nie jest wcale przypadkowa i musi mieć ścisły związek z moim stanem zdrowia. To pewne. Leżąc w łóżku w skórzanych pasach, jestem oddalony od własnego życia o lata świetlne. Prawdopodobnie gdzieś daleko stąd, w nieznanym mi przestrzeniach, moje życie kręci się dalej. Tyle tylko, że beze mnie – i niestety, nie potrafię z tym nic zrobić. Nie znam żadnej drogi powrotu. Jedyne, co teraz pamiętam, to obraz ciemnego lasu i przepaści. Umysł pozbawiony kontroli doprawdy potrafi płać figle i każdy wytrawny schizofrenik to potwierdzi. Tak się teraz czuję. Już sam nie wiem, co jest prawdą, a co fałszem. Może tylko śnię i zaraz się obudzę w wygodnym hotelowym łóżku w czystej pościeli? Nawet to nie daje mi jednak żadnych gwarancji sukcesu. Niektórzy bowiem uważają, że życie jest projekcją snów, a sny są odbiciem życia. Może tak właśnie jest teraz ze mną? To, co powinno

być życiem, może być przecież tylko snem, z kolei sen może okazać się całym życiem.

Wiem jedno: chcę i muszę dotrzeć do prawdy. Dowiedzieć się, kim jestem i co tu robię. Zbieram zatem w sobie wszystko, co mam, i balansując ponownie na granicy utraty przytomności, wreszcie poruszam małym palcem u dłoni. Chociaż tyle mogę zrobić dla samego siebie. Wyczerpany, zamykam oczy, a zaraz potem rozlegają się radosne okrzyki.

– Miła niespodzianka, P dziewiętnaście – rzuca uradowany wąsaty.

Uśmiecha się do mnie od ucha do ucha, a reszta obecnych składa mu gratulacje, klepie go po plecach. Wygląda to tak, jakby wygrał ważny wyścig lub poważne zawody.

– Jest tak, jak zawsze myśleliśmy: jesteś w pełni świadomy – dodaje. – Nie mogliśmy lepiej wyobrazić sobie twojego powrotu do żywych. Doprawdy, jest co świętować, ale na dzisiaj wystarczy, proszę odpocząć – mówi z pełną satysfakcją. – Zaraz nakazę usunięcie tych pasów. Są już niepotrzebne. Położymy cię w innym łóżku. Nie martw się. Niedługo wrócimy, czeka nas naprawdę dużo pracy.

Dosłownie w kilka minut cała grupa lekarzy opuszcza pomieszczenie i zostaję sam. Lampy na suficie gasną i nastaje cisza. Ciemność rozlewa się po całym pokoju i jedynie przez małe okno dochodzi do mnie nieco światła z pobliskiej latarni lub księżyc. Zamykam oczy i niedługo potem zapadam w głęboki sen.

IV. SNU KONSTERNACJA

Jakże dziwnie to się układa – pomyślałem lekko zdezorientowany. W jednej chwili latasz w przestworzach, a za moment leżysz przykuty do łóżka. Nie ogarniam tego i trudno mi się odnaleźć w tej nowej sytuacji. Mam wrażenie, że rozpadam się na drobne kawałki i nie-
długo nie będzie już czego po mnie zbierać. Każdy najmniejszy ruch to ogromny wysiłek. Za wiele mnie kosztuje. Bywa tak, że nie mam nawet już ochoty próbować. Teraz mogę tylko pomarzyć o wstaniu z łóżka. Leżę zatem bezwiednie i gniję. Tak naprawdę stać mnie jedynie na spanie w nocy i gapienie się w sufit w ciągu dnia. Od zniknięcia wąsatego i jego ekipy minęło sporo czasu. Czuję się coraz bardziej zagubiony. Wybudzenie powinno być przecież powodem do radości, ale dla mnie nie ma większego znaczenia. Tak naprawdę mógłbym wrócić tam, skąd przybyłem. Tęsknię za lasem i przepaścią, nawet za tym nieznosnym wiatrem. Bardzo mi tego brakuje. Tam przynajmniej wiedziałem, gdzie jestem. Tu na razie nikt nic nie mówi i wszystko jest owiane tajemnicą. To powoduje, że jestem zrezygnowany. Krótko mówiąc, mam ochotę zamknąć oczy i już nigdy się nie obudzić. Wygląda na to, że można kochać życie i jednocześnie nie potrafić żyć. Jakby tego było mało, męczą mnie koszmary, w tym jeden stale się powtarzający.

Zaczyna się w ten sam sposób. Otóż ląduję w opuszczonym, pełnym wilgoci budynku w stanie dalece zaawansowanego rozkładu. Tuż nad moją głową sypie się sufit. Wszędzie jest brudno i w powietrzu unosi się dokuczliwy, nieznosny lepki kurz. Wytarte drewniane podłogi już dawno straciły swój pierwotny blask. Wszędzie leżą połamane i zniszczone meble oraz resztki potłuczonej porcelany i puste butelki. Tynki, pokiereszowane wskutek powyrywanej i pewnie zezłomowanej instalacji elektrycznej, tworzą niezapomniane freski. Co jakiś czas dociera do mnie dźwięk kapiącej wody z kranu. Ogólnie widok jest mało zachęcający. Trudno to określić, ale to obskurne miejsce kojarzy się z wyobcowaniem i pewnego rodzaju odczłowieczeniem. To pewnie dlatego przez cały czas zerkam niepewnie za siebie. Mam nieodparte wrażenie, że jestem śledzony, choć nie ma tu ani jednej żywej duszy. Jeszcze gdzieś gdzieś można, owszem, dostrzec ślady ludzkiej i nie tak dawnej aktywności. Na ścianach wiszą wyblakłe obrazy z czasów mrocznej epoki stalinizmu. Twarze robotników odbudowujących ojczyznę zniszczoną wojną. Na podłodze leżą porwane i pożółkłe gazety. Widzę wzniosłe nagłówki napisane cyrylicą: *День Победы*. Zapewne ruscy tu byli – taka tam moja zaskakująca konkluzja. Na domiar wszystkiego nadchodzi zmrok i robi się bardzo ciemno w korytarzach. Nie mam już wątpliwości, muszę jak najszybciej stamtąd uciekać. Tylko jak?! W budynku znajduje się mnóstwo korytarzy tworzących coś na wzór labiryntu. Nerwowo rozpoczynam poszukiwania drogi ucieczki i tu sprawy się komplikują. Wszystkie korytarze prowadzą donikąd, a raczej w to samo miejsce. Biegam tam i z powrotem, co tylko potęguje we mnie lęk i dezorientację. Wygląda na to, że ugrzęznę tam na dobre... Żeby nie powiedzieć, że na złe. Wciąż wierzę, że musi istnieć jakieś wyjście. Zawsze istnieje, nawet w tych najbardziej beznadziejnych sytuacjach. Skoro udało mi się

dostać do środka, to przecież tak samo mogę wydostać się na zewnątrz. To bajecznie proste. Tyle że nie w tym miejscu.

Nagle na końcu korytarza dostrzegam drzwi. Są lekko uchylone i wydobywa się z nich odrobina światła. No wreszcie, co za ulga! Chwytam za klamkę i w progu ukazuje się kobieta. Co za piękna niespodzianka. Niewysoka, o ciemnych włosach, spogląda na mnie oczami koloru piwnego. Jest niepokojąco znajoma. Stoję w miejscu i czekam, aż coś powie. Ta jednak powoli wyciąga do mnie dłoń, jakby chciała się przywitać. Uśmiecha się przy tym dość enigmatycznie. Kim jest? Waham się, ale w końcu niepewnie dotykam dłoni i wtedy zostaję porażony wizją przepowiedni niedalekiej przyszłości. Widzę lot, upadek i własną śmierć. Wystraszony robię krok wstecz. Z dużym niedowierzaniem spoglądam prosto w jej oczy i zapytuję:

– Co to ma oznaczać?

Niestety, jest już za późno na odpowiedź. Potężna eksplozja odrzuca mnie daleko na drugi koniec korytarza.

Podnoszę się niezdarnie i z przerażeniem stwierdzam, że jedyna znana mi droga ucieczki stoi w płomieniach. Co teraz? Kalkuluję i widzę dwa wyjścia z sytuacji. Mogę zacząć szukać innego wyjścia, lecz wtedy pewnie spłonę wraz z budynkiem. Drugie rozwiązanie zwiększa moje szanse na przeżycie, ale tylko pozornie. Mogę bowiem skierować się do tych samych drzwi i rzucić prosto w szalejące płomienie, mając nadzieję, że wydostanę się przez nie żywy.

Nie mam za dużo czasu. Brakuje już tlenu, zaczynam się dusić. Wreszcie decyduję się i ruszam. Biegnę, ile sił w nogach. Skaczę w płomienie i momentalnie robi się piekielnie gorąco, jak w piecu hutniczym. Czuję, jak płonę. Zakrywam twarz; to jedyne, co mogę zrobić, żeby się chronić. Ubranie wtapia się w moje ciało i dociera do mnie ohydny śwąd

palonej skóry. Jeszcze kilka sekund i stanę się ludzką pochodnią. W końcu tracę cały impet i upadam na ziemię z pełnym przerażenia krzykiem. Krzyk jest tak głośny i przeraźliwy, że wybudza mnie z koszmaru.

Nigdy wcześniej nie analizowałem snów. Tym bardziej nie doszukiwałem się symboliki lub ich ukrytego znaczenia. Nie przeglądałem senników w poszukiwaniu wskazówek i wyjaśnień. Dla mnie sen zawsze był tylko snem i jedynie produktem ludzkiej podświadomości. Tyle i może aż tyle. Podobnie jest z wróżeniem z tarota. Każdy wierzy w to, w co chce wierzyć – i nic poza tym. Mimo to powtarzający się koszmar nie daje mi spokoju. Wciąż o nim rozmyślam.

V. PODWÓJNY AXEL

Wciąż zalegam w łóżku. Jest powygniātane i strasznie niewygodne. Zamiast wypoczywać i odzyskiwać siły, co rusz wierzgām w ucieczce przed drętwiejącym ciałem. Z nudów i dla zabicia czasu błędę wzrokiem po całym pomieszczeniu. Nie ma w nim niczego szczególnego.

Naprzeciwko łóżka stoi stary wózek inwalidzki z widocznymi śladami zużycia. Siedzisko jest wytarte i niemalże w pełni wyblakłe, lewe przednie kółko lekko zwichrowane. Zastanawiam się, czy jest jeszcze sprawny. Podoba mi się zachowany styl *vintage*. Brakuje w nim jedynie żółtych tablic rejestracyjnych dedykowanych dla pojazdów zabytkowych. Poniekąd przypomina wyglądem stary motocykl i aż się prosi, żeby ruszyć nim korytarzami szpitala na pełnym gazie. Szkoda, że nie mogę tego zrobić. Atrakcje tego rodzaju byłyby teraz wskazane. Tymczasem nie jestem w stanie wstać z łóżka i nawet odległość kilku metrów jest jak dla mnie nie do pokonania.

Dalej, po prawej stronie, znajduje się puste łóżko. Na nim tylko materac, bez pościeli. Myślę, że dobrze byłoby mieć tu towarzystwo. Jakąś bratnią duszę. Może wtedy lepiej zniósłbym pobyt w szpitalu. Ściany pomalowane na biało wstrętną suchą, akrylową farbą. Dają poczucie zimna i nadmiernej surowości. Nie pomagają cztery długie na metr jarzeniówki. Ogólnie słabo to się prezentuje. Ale oczywiście wiem, że

szpital to nie hotel, tylko cicha umieralnia. Ludzie nie trafiają tu po to, by wyzdrowieć, lecz by umrzeć w miarę godnych warunkach. Te godne warunki mogą tu jednak rozczarować. W pomieszczeniu unosi się specyficzny i mało przyjemny zapach. Dwa główne jego składniki to środki dezynfekcyjne oraz szpitalna kuchnia. Wystarczy krótki pobyt i przesiąkasz tym smrodem na długie lata.

Poza oglądaniem pomieszczenia rzucam też okiem na własne ciało. Zauważam, że jestem gęsto okablowany i sprawnie połączony z kilkoma urządzeniami stojącymi tuż przy łóżku. Rozpoznaję wśród nich aparaturę kontrolującą tętno, puls i saturację. Co do reszty, nie mam zielonego pojęcia, co mają sprawdzać. Urządzenia pracują głośno i w dość jednostajnym rytmie. Pikają ćwierćnutami, nieznośnie nabijając tempo myślenia. Pik... Pik... Pik... i kolejny w myślach myk. Moje parametry życiowe przedstawiają się jak na razie stabilnie i... kolorowo. Cokolwiek to znaczy w tym przypadku.

Ostatni element wystroju salki to drzwi na korytarz. Są umieszczone na wprost łóżka. To moje okno na świat. Przeważnie lekko uchylone, dostarczają mi jedynej rozrywki. Mogę obserwować bieg wydarzeń i bezkarnie przyglądać się temu, co dzieje się na szpitalnym korytarzu. Sporadycznie ktoś przemyka, rzucając cień na podłogę tuż pod moim łóżkiem. Dla zabicia czasu zliczam każdego spacerowicza w tej absorbującej grze cieni. Potem weryfikuję wyniki z każdego dnia i prowadzę w ten sposób własną sekretną statystykę. To właśnie na jej podstawie dochodzę do wniosku, że w szpitalu nie dzieje się nic szczególnego. Jedyne co jakiś czas słyszę ten nieznośny hałas zza ściany: głośne, irydujące krzyki. Niewyraźne i o zwierzęcym wręcz zabarwieniu zakłócają gwałtownie panującą tu ciszę. Nie mogę ich rozszyfrować ani tym bardziej zlokalizować. Przyjmują niepokojącą formę błagania o pomoc

i odgłosów cierpienia. Może to jednak tylko mój słuch zawodzi? A może to kwestia wadliwej akustyki? Zastanawia mnie w tym wszystkim jedno: skoro tak jest, to dlaczego nikt nie stara się tego uciszyć?

Mam teraz czas na rozmyślanie. Pojawia się tak wiele pytań, lecz jak na złość żadnych odpowiedzi. Wertuję setki wspomnień dotyczących przeróżnych miejsc, ludzi i zdarzeń. W niektórych z nich jak w zwierciadle widzę samego siebie. Jednak to wciąż nic mi nie mówi. Mam trudności z odgadywaniem pozostałych osób oraz ich wzajemnych powiązań. Mimo to krok po kroku brnę do przodu i tak naprawdę nie mam już innego wyjścia. Przecież jest wiele ścieżek prowadzących do celu i nie jest powiedziane, że trzeba zawsze podążać jedną i tą samą. Zatem dam się ponieść nurtowi tego, co nieuniknione. Takie tam moje *go with the flow*.

No cóż, postanawiam też wstać z łóżka. To już ten czas. Chwytam za barierkę i się podnoszę. Od razu doświadczam spłyconego oddechu oraz mrowienia na całym ciele. Mozolnie wyczołguję się z pośłania i po raz pierwszy staję na nogi. Pewnie dla innych to nie jest wielkie osiągnięcie, ale czuję się, jakbym zdobywał Mount Everest. Tego mi właśnie brakowało. Uczucia satysfakcji i poczucia własnej sprawczości. Do tej pory decydowano o mnie, teraz zdecyduję sam o sobie. Stoję tak przy łóżku na baczność dumny jak paw. Tymczasem ciało się chwieje i nogi drżą niczym święteczna galareta. Kości są na miejscu, ale niestety zdecydowanie brakuje na nich mięśni. Co rusz się przechylam i muszę łapać pion. Dla pewności zastygam w bezruchu i zastanawiam się, co począć dalej. Nadal drzę, teraz jednak już odrobinę bardziej rytmicznie. Mówiąc to, dziwnie kołyszę się na lewo i prawo i brakuje jedynie odpowiedniej muzyki. Robię kolejny ruch. Najwyższy czas ruszyć na parkiet. Zwalniam uchwyt barierki i wykonuję pierwszy krok. Radość

trwa zaledwie moment, albowiem dosłownie w ułamku sekundy tracę grunt pod nogami, po czym bezwładnie upadam przed siebie. Po drodze uderzam czołem o szafkę przy łóżku i tracę przytomność. Już nawet nie czuję kolejnego uderzenia głową o twardą lastrykową podłogę. Tak właśnie wygląda początek i koniec mojego pierwszego spaceru. Leżę nieruchomo i krew spływa mi ciurkiem po twarzy, tworząc małą purpurową kałużę tuż pod nosem na podłodze.

– Co ty najlepszego zrobiłeś? – słyszę głos z oddali. – Człowieku, dlaczego wstałeś z łóżka? – krzyczy nerwowo kobieta, pochylająca się nade mną. – Powtarzałam wszystkim: żadnego wstawania, a tym bardziej wychodzenia z łóżka! Niech to licha, mieli wszystkiego pilnować. Salowy, szybko tu! Trzeba go natychmiast przenieść na łóżko. No już, nie traćmy czasu! – Wykrzyczane słowa roznoszą się echem po całym korytarzu.

Nagle w salce robi się bardzo tłoczno. Personel biega tu i tam, ale nie ma w tym zamieszaniu żadnego przypadku. Każdy odgrywa wyćwiczoną rolę i wszyscy poruszają się wedle wypracowanego schematu. Co rusz ktoś bada moje ciało. Ciekawie to wygląda, prawie jak scena z serialu o chirurgach. Mam zaskakująco dobry ogląd na panującą sytuację i wiem dokładnie, co się dzieje. Może dlatego nie panikuję. Znajduję się tuż pod sufitem, lewitując pomiędzy siłami unoszenia i grawitacji niczym urodzinowy balon po brzegi wypełniony helem. Świetnie się bawię i brakuje mi tylko popcornu. Spoglądam na aparaturę. Ta, prawdopodobnie uszkodzona podczas upadku, nie funkcjonuje najlepiej. Na ekranach widoczne są jedynie lekko drgające i silnie zarysowane linie proste. Maszyny nie wydają pikających dźwięków, słychać tylko jednostajny odgłos ich pracy. Ktoś wykrzykuje alarmujący komunikat i pojawia się defibrylator. Tylko po co, ja się pytam? Wnet doświadczam zimna elektrod na

klatce piersiowej oraz siłę pierwszego uderzenia. Aż mną podrzuciło. Żarty się skończyły. Dopiero teraz dociera do mnie, że rozpoczęła się walka o moje życie. Oprócz uderzeń elektrowstrząsów odczuwam silne uciski na mostku i wdychane powietrze do płuc. Mam cichą nadzieję, że robi to kobieta, a nie pierwszy lepszy salowy. Co za akcja, pełna nieprzewidywanych sytuacji i dramatycznych zwrotów. Trzeba im przyznać, że ratują mnie z ogromnym animuszem i zaangażowaniem. Jestem naprawdę pod wielkim wrażeniem. Teraz jednak w tym całym zamieszaniu ktoś znienacka mnie przytula i wyczuwam przyjemne uczucie ciepła drugiego człowieka. To przywołuje dość mgliste wspomnienie. Moja mama tuliła mnie w ten sam sposób. Robiła to za każdym razem, gdy płakałem. Bardzo mi to pomagało i podobnie jest teraz. Uspokajam się i wyrównuję oddech. Znow widzę światło w tunelu i dociera do mnie dźwięk aparatury. Pik... pik... pik... Chyba wszystko będzie dobrze.

VI. WÓZKOWNIA

No i stało się. Marzenia się jednak spełniają. Pędzę starym i zdezelowanym wózkiem inwalidzkim przez długie korytarze budynku, pchany z tyłu siłą ludzkich rąk. Po wydarzeniach ostatnich dni i reanimacji stwierdzono, że lepiej będzie transportować mnie w taki właśnie sposób. Nie ma to dla mnie znaczenia. Jest po prostu lepiej. Najważniejsze, że wreszcie opuściłem salkę numer dziewiętnaście i poznaję środowisko, w jakim przyszło mi wegetować. Upadek okazał się przydatny, bardziej aniżeli myślałem – i jak to bywa w przyrodzie, nic nie poszło na marne.

Kilka ostrych zakrętów utwierdza mnie w przekonaniu, że znajduję się w starym budynku, prawdopodobnie w dawnym pruskim garnizonie. To kolejny krok zbliżający mnie do ustalenia miejsca pobytu. Potrzebuję jeszcze odrobinę dodatkowych danych. Jedna tablica informacyjna i wszystko będzie jasne. Tyle tylko, że jak na razie niczego tu nie widzę. Ściany są gołe. Budynek pełni obecnie rolę szpitala i nic już nie przypomina jego militarnej przeszłości. Wysokie pomieszczenia ze stropami Kleina wypełnione są światłem słonecznym wpadającym przez duże okna z białą stolarką. Pod nimi znajdują się ogromne żeliwne grzejniki. Mimo to w korytarzach panuje dość niska temperatura. Mijam po drodze personel szpitala, niezmiennie cały w bieli. Lekarze, pielęgniarki i salowe dosłownie co rusz wpadają na mnie, rzucając bezrefleksyjnie

„przepraszam”. To akurat mi nie przeszkadza. Gorzej z tym, co wychwy-
tują moje nozdrza. Powietrze wypełnia intensywny odór uryny zmieszany
z przenikliwą wonią starości. Tu nikt się nie wyróżnia. Śmierć traktuje
każdego jednakowo i sprawiedliwie. Nie ma miejsca dla uprzywilejowa-
nych ani stref VIDP – *Very Important Dead Person*. Przede mną mate-
rializuje się więc komunistyczna utopia w pełnej okazałości. To musi być
pokrępiające i budujące dla tych, co odchodzą w niełasce. Szkoda, że
dzieje się to tak późno, ale na pocieszenie jest jeszcze obietnica życia
wiecznego i dlatego odejście z tego świata nie powinno zatem niko-
go martwić. Wręcz przeciwnie musi napędzać radością i spełnieniem.
Przecież wiara zbawi każdego. To dlatego żałoba nie ma większego
sensu, opłakujemy zmarłych latami. Tymczasem tak naprawdę powinni-
śmy cieszyć się i świętować ich odejście do lepszego, idealnego świata.
Życie na ziemi jest tylko stanem przejściowym, bolesnym i uciążliwym
przystankiem w podróży do wieczności. Długotrwałą i z góry przegra-
ną walką o przetrwanie. W pewnym momencie brakuje sił i trzeba się
poddąć. Teraz to widzę nader jasno na korytarzach szpitala i przede
wszystkim na twarzach umierających pacjentów.

Dobrze byłoby wiedzieć, ile mam jeszcze czasu na tym świecie.
Wtedy mógłbym wszystko dobrze zaplanować. Patrząc na tych umie-
rających, wiem jedno: zbyt często się rozdrabniamy. Tracimy z pola wi-
dzenia to, co najlepsze i najważniejsze. Marnujemy się wskutek braku
odwagi. Boimy się żyć, lecz, o dziwo, już nie umierać, a przynajmniej
nie tak bardzo. Pełni obaw i strachu przed nieznanym, odkładamy ży-
cie na jutro. A jutro prędko staje się utraconym wczoraj. Mistrzowie
szkicowania planów na przyszłość... Udało się tylko tym nielicznym,
którzy zdecydowali się działać, choć niekoniecznie byli lepsi. Niestety,
większość z nas potrafi tylko biadolić. Rozprawiać w nieskończoność

o tym, co mogliśmy zrobić i czego tak naprawdę nigdy nie udało nam się dokonać. Im więcej takich samych jak my, tym jakoś robi się lżej na sercu. Bieda i choroba zawsze jednoczą skutecznie ludzi.

Twoje życie – twoje decyzje. Szanuję niezbywalne prawo każdego do samostanowienia i decydowania o własnym losie, do podejmowania decyzji zgodnie z osobistymi przekonaniem. Wszystko, oczywiście, w obowiązującej granicy wolności osobistej. Ta zawsze kończy się tam, gdzie zaczyna się wolność drugiej osoby. W tej wyraźnie określonej przestrzeni można realizować się dowolnie na każdy sposób. Zdumiewa mnie jednak, jak co niektórzy bez głębszej refleksji mówią innym, jak mają żyć. Liznęli odrobinę życia i już myślą, że mogą kazać wszystko wszystkim. Jakże są bardzo oburzeni, gdy zwraca im się uwagę o cokolwiek. Takie to typy z niesamowitym parciem na sukces, łasych na pochwały i słowa uwielbienia. Myśląc o tym właśnie, zauważam kaplicę kościelną. Może to tylko zbieg okoliczności? W środku widzę księdza z rękami uniesionymi wysoko i modlącego się pod nosem. Przed nim na kolanach kilkoro wiernych. Na ich twarzach zachwyt. To też jest jakaś opcja – myślę. Oddać życie Bogu i rzucić z siebie brzemię odpowiedzialności.

Pod koniec kolejnego krętego korytarza mijam mały punkt gastronomiczny o nazwie FishBar z wizerunkiem dużej ryby wyskakującej wprost z patelni. Osobliwa lokalizacja jak na bar rybny. Spodziewałem się w tym miejscu raczej automatów z przeróżnymi przekąskami lub sklepiku z kanapkami i słodkimi bułkami. Jednakże tu, w samym środku szpitala, oferuje się smażoną rybę z frytkami. To się w ogóle nie klei. Kto dał na to pozwolenie?

Już tylko myśl o jedzeniu sprawiła, że mój nastrój się lekko poprawił. Przestałem błędzić w przestrzeni wzmagających się problemów

egzystencjalnych i po zaledwie kilkupiętrowej podróży windą odnalazłem się w korytarzu wyłożonym czerwoną wykładziną. Wygląda mi na festiwalowy *tapis rouge*. Sceneria wyraźnie i pozytywnie się zmienia. Ściany mają tym razem ciepły kremowy kolor i prezentują się znacznie lepiej od tych w korytarzach dla pacjentów. Zatrzymujemy się przed przesuwными, szklanymi drzwiami, nad którymi znajduje się wytarty napis: „Ordynator Oddziału Neurologii i Psychiatrii”. No wreszcie – myślę uradowany. Nie kto inny jak sam ordynator mi to obiecał. Jestem gotowy na profesjonalną diagnozę stanu zdrowia. W końcu ktoś kompetentny powie, co tak naprawdę mi dolega, poznam przyczynę szwankującej pamięci i nie tylko. Nie mogę przecież tak tkwić tu tygodniami bez żadnych informacji. Nikt dotąd nie chciał ze mną porozmawiać. Czym prędzej chcę się dowiedzieć, jak się nazywam i skąd pochodzę. Czy to tak wiele? Oczekuję raptem kilku krótkich odpowiedzi i nic więcej. Dopytywałem salowe i sprzątaczkę, ale bezskutecznie. Ponoć nikt nic nie wie. Wygląda mi to jednak na znowu milczenia. To naprawdę nie ma sensu. Mam też nadzieję, że zanik pamięci ma wyłącznie podłoże neurologiczne i jest jedynie drobną dysfunkcją tkanki mózgowej. Gorzej, jeśli to coś zupełnie innego. Najbardziej skomplikowane złamania kości można poskładać. Transplantacje organów nie stanowią już wyzwania dla medycyny. Przeszczep płuc, rekonstrukcja twarzy są możliwe i na wyciągnięcie ręki. Co innego przypadki, gdy zawodzi głowa. Wówczas robi się beznadziejnie. Niech przykładem tego będzie depresja. Możesz być cudownym człowiekiem, lecz w twojej głowie rodzą się niewidzialne i przerażające, niczym nieuzasadnione myśli. Tak naprawdę nie wiadomo, skąd się biorą. Jest to powolny, stopniowy proces utraty dobrego samopoczucia i równie dobrego zdania o sobie. Na początku go nie odczuwasz. Później jest już wszystkim, co jesteś w stanie poczuć.

Zaczynasz myśleć o sobie w najgorszych kategoriach. Stajesz się dla siebie tylko i wyłącznie nikim. Myślisz, że jesteś do niczego i wart tyle co nic. Zamykasz się na świat i wstydzisz się wyjść do ludzi. Jedyne, czego doświadczasz, to szorstkiej całodobowej reprimendy od samego siebie. Nie jesteś w stanie się tego pozbyć i w końcu się poddajesz. Nakręca cię już tylko myśl o odejściu z tego świata. Wreszcie, gdy nadarza się okazja, odchodzisz.